

# Zwolon

Teresa Krzemień

**P**ielgrzym, który wedle samego Norwida (list do Teofila Le-nartowicza z sierpnia 1850 r.) uosabia „Polski — dziś z-wolającej się z wola Boga, niezadługo z-wolonej, a następnie i wy-z-wolonej — myśl”.

Zwolon, zdrowe ziarno myślenia narodu, tego myślenia kwintesencja:

Tutaj skazany na klęski, do końca, po grób i błędy późnych wnuków.

Wędrowka tego bohatera po świecie zapisana w dramacie fantastycznym (zwał się: monologia) przez Norwida w r. 1849 nazwana od imienia bohatera (idei? hasła?) „Zwolon” właśnie, na scenie znalazła się we fragmentach dotąd dwa razy, w całości dopiero teraz, 16 kwietnia br. Dzieło, o którym współcześni Norwidowi (zwłaszcza ci z kraju) wyroko-wali, iż „ciemne”, obciążone nadmiernie historiozofią (providencjoni-zm, pomysł zgrania (z-welenia) aktywności jednostki ludzkiej w historii z wola Boga, co w efekcie da-owało przedziwny optymizm historio-graficzny i nieuchronnie musiało prowadzić do „konserwatyzmu oświeconego” na tak długo przypisane-go Norwidowi), a na domiar wszystkiego: o budowie luźnej, ot-wartej, z przeskokami konstrukcyjnymi pozbawionymi dostatecznych motywacji.

Wydano „Zwolona” wiosną 1851 r. w Wielkopolsce, staraniem red-aktora „Przeglądu Poznańskiego” Jana Kozmiana, ale nie odbyło się to bez oporów z jego strony (w Par, „u nie mógł się ukazać, bo Nor-wid nie dysponował 200 frankami potrzebnymi na wydrukowanie).

Krakowski „Czas” zrecenzował „Zwolona” (razem z „Promethidion-em”) surowo: „Niezmiernie trudne zdać sobie sprawę z onych wierszy, powiązać logicznie myśli autora i po-wiedzieć czego chce. Dostyc przeczy-tać pierwszą, lepszy ustęp, aby ręce

opuszczyć i powiedzieć sobie: na te hie-roglify — chyba jaki drugi Cham-pollion się urodził, jeśli radzić się war-to dla tak małej rzeczy.”

Klaczko zawtórował temu w „Goń-cu Polskim”: „Promethidion, Zwo-lony i inne androny”.

Ba! „Promethidion” jest dziś dla nas klarowną wykładnią myśli spo-łecznej, rozumiemy go, cytujemy, deklamujemy, wystawiamy jako monodram w teatrze. Podzielamy na odległość gorycz poety, którego naj-bardziej nowatorskie wiersze uznano tak pochopnie za androny.

Ale „Zwolon”?

Rzecz o polskim fatalizmie odrad-zającym się jak hydra — zgoda, ale jakie poprzeraściana ornamenty-ką estetyki historiozoficznej.

Bo ten fatalizm jest o tyle fatalny, naprawdę tragiczny, że Norwid wi-dzi i podkreśla jego nieuchronność.

No więc, co to jest? Drwina czy akceptacja, gorzka ironia czy wie-szczenie na temat losu i duszy na-rodu?

Dla jednych „Zwolon” pozostał do dziś „trudnymi wierszami” zdradza-jącymi zarys wspaniałej koncepcji intelektualnej, dla innych — „dziełem cudownie suchwałym” — jak żaden inny dramat romantyczny. Do tych drugich należy Krystyna Skuszan-ka. Jak sama przyznaje w rozmowie za-mieszczonej w programie do „Zwo-lona”, ta „tragiszopka” zadziwiła ją „diagnozą stanu ducha w narodzie”. Co więcej — to „Zwolon” właśnie wydał się być Krystynie Skuszan-ce „zwierciadłem naszego czasu”.

Cytuję to wszystko pełna najlep-szej woli i respektu, albowiem trud wystawienia dzieła szekającego lat 134 na swoją prapremierę jest trudem nie do przecenienia i także „po-raża”, jeśli nie imponuje.

Prapremiera zatem, tyleż przywrac-ająca kulturze narodowej roman-tyczny dramat o ostrych jak noże-sensach, co i proponująca dzisiejsze-mu widzowi myślenie na tematy obecnie znowu (wciąż? jak zwykle?) palące i bolesne.

Prapremiera, ważna z obu wyżej wymienionych powodów oraz z trze-ciego, nie mniej ważnego — otwiera bowiem sezon nowej dyrekcji w Te-atrze Narodowym. W niełatwym — wszyscy o tym wiemy — czasie. Waż-na także i dlatego, że to właśnie rzecz tak trudna i niepopularna wy-brana została na to otwarcie. Nikt tu więc sobie niczego nie ułatwiał, nikomu nie schlebiał, nie zalecał się do widowni, tak jeszcze wiernej spektaklom Hanuszkiewiczza, efek-townymi fajerwerkami czy leżką spod serca. To godzi się powiedzieć, i to z szacunkiem wobec kierownic-twa artystycznego. Zaczęto najtrud-niej jak można (choć zmieściła się w tym trudnym początku i chwala „od-krycia” teatralnego, prapremiery po latach). Było to ryzyko dla teatru, ale ryzyko takiej klasy i rangi, w którym każdy wynik się liczy. Świet-ny i mniej świetny. Jakikolwiek jest, pozostanie pierwszym teatralnym „Zwolonem” i już na zawsze będzie świadczył o naszym czasie i sposo-bach myślenia o nim.

To, co implikuje ważność tej reall-zacji — jaka by nie była — jedno-cześnie określa stopień trudności re-cenzenta, który nie ma punktu od-niesienia a oceniać i objaśniać win-nien jedynie wersję daną mu raz (plus ta z wyobraźni własnej).

Ale już się stało: „Zwolon” odbył swój chrzest teatralny wieczorem w sobotę 16 kwietnia przy sali na par-terze prawie pełnej, chociaż nie

znaczy to jeszcze zbyt wiele, jako że wypełniali ją w przeważającej mierze posiadacze zaproszeń.

Spektakl ma dwie obsady roli Zwolona, na premierze widziałam Tomasza Budytę (zmiennik: Krzysztof Wakuliński). Zaczyna się przy otwartej kurtynie i zaczyna się fascynująco. Ten fascynujący początek „Zwolona” to jego — gotowa od pierwszej chwili — scenografia autorstwa Krzysztofa Pankiewicza. Na całą głębokość wielkiej sceny Narodowego zbudowano przejrzyste rekwizytorium narodowe. Z różnych epok, z pomieszanych stylami, uniwersalnie polskie, rozpoznawalne od zaraz, w stłoczeniu swoim sugerujące, że rzecz będzie o odwiecznym polskim zaklętym kręgu spraw wciąż się powtarzających. Koło będzie się tu zamykało — nie tylko w finale, częściej.

W rekwizytorium Pankiewicza jest kościół (katedra?) i trzy krzyże na kurhanie, kolumny i ruiny, resztki ceglanego muru i bale drzewa, na których ciąć można, na przykład piłą. Dużo tego jest, właściwie na scenie jest ciasno, chociaż perspektywa — odległa — zarysowuje wciąż i wciąż w głębi nowe znajome zarysy i kontury. Nie ma ucieczki — graciarnia ogranicza horyzont. W tym rekwizytorium jedenaście obrazów „Zwolona”. Ze „Wstępem” recytowanym przez Ewę Krasnodeńską i z jej finalnym występem w wierszu „W pamiętniku”, którym reżyserka jakby puentuje dopiero co przedstawione „piekło” ze „Zwolona”.

Król, prezes Rady Ministrów — Zabór, doktryner i kłamca Szolom, sam Zwolon, ślepiec, wdowa, pachole, straż, mieszczenie, chłopcy. Toczy się rzecz o sprawowaniu władzy i dojrzywaniu anarchii. Wygra — w każdym starciu — nie ten, kto jest akurat czystego serca.

Po przerwie, kiedy dyskusja spliskowych ujawni komu trzeba kogo i co trzeba (Król i Szolom też są pośród nich, a jakże, zamaskowani jak i reszta) — pragnienia dorosłych są już udaremnione. Zwycięży władza i jej ramiona, przegra Zwolon. Ale z relacji dziecka dowiadujemy się, że onże Zwolon dał się żywcem zamunować, śmierć tę nazwał wyzwoleniem a swoje imię — ideę przekazał potomnym.

Zatem: da capo. Raz i jeszcze raz, od początku: dziecko dorosnie, przekaze ideę następcom, będzie nowy Zwolon, nowe klęski i tylko Zabór z Szolomem mogą się zmieniać, to jest: zmieniać metody.

Obrazy „Zwolona” są zgęszczone, widać niełatwo polapie się tu w poszczególnych znaczeniach epizodów, choć na pewno wychwyci nastrój, tonację i tak zwaną wymowę ogólną. Nie ułatwiają sprawy liczne cytaty z poezji romantycznej jakimi naszpikowany jest cały poemat. Przedsięwzięciu na scenie towarzyszy cały czas muzyka: nieco drażni, ale to drażnienie jest celowe, wyczula nerwy. Przepiękne śpiewanie Agnieszki Fatygi (Pieśń Niewidzialnego Anioła) to nie najmniejszy atut tego przedstawienia, które należałoby obejrzeć kilka razy by dobrze się w nim rozczuć.

Zapewne wielu będzie zawiedzionych, i to gorzko. Że: trudna do wyeksplikowania treść, że: patos i hieratyzm języka teatralnego, że: nie zawsze obronili się aktorzy.

Istotnie, nie wszyscy sprawiają wrażenie, że wiedzą co mają grać, chociaż absolutnie czysto brzmią kwestie Budyty-Zwolona. Niełatwo do mówienia wiersz norwidowski podaje z maksymalną wiarygodnością swojej wewnętrznej czystości. Właśnie — wierzy mu się, chociaż właściwie jest tu cieniem cieniów.

„Nie” będę wymieniała całego ansamblu, wyjątek robiąc jedynie dla tych, którzy w tym przedstawieniu wazą: Króla (Jan Tesarz) Królowej (Małgorzata Lorentowicz) i Szoloma (Wojciech Slemion). O, jest jeszcze makiawelski Zabór — premier (Wojciech Brzozowicz) i to jest na tyle sugestywnie, że aż dostaje się gęsiej skórki.

Wynosi się z tego spektaklu zmęczenie i gorycz. Zmęczenie wcale niekoniecznie fizyczne (spektakl trwa niepełne dwie godziny), ale na pewno psychiczne... Gorycz mlałką i brzydką jakąś — w końcu to o nas, do nas, z najlepszą wolą.

Co dalej?

---

Teatr Narodowy — Cyprian Norwid „Zwolon”. Reżyseria Krystyna Skuszancka, scenografia Krzysztof Pankiewicz, muzyka Adam Walaciński. Prapremiera 16 kwietnia 1983.